



GŁOWY STOLECZNE

Fot. B. J. Dorys

Nina Andrycz

nej przecież sztuce: *Trąd w pałacu sprawiedliwości*.

O te wartości w teatrze i w swojej biografii aktorskiej staje w pierwszym rzędzie artystka. Swe postaci sceniczne nasycza, żeby powtórzyć za Faulknerem, prawdami serca. Miłością, hónorem, litością, współczuciem, dumą i odwagą. I to właśnie stanowi nie tylko o jej wielkim powodzeniu u publiczności, ale także o żywej, współczesnej nośności kreacji, co jest jedyną miarą prawdziwego aktorstwa. I kobiecości. Tej kobiecości, której symbol w przenośni artystycznej stworzyła Greta Garbo.

No, a encyklopedia drogi aktorskiej? Jest długa i wypełniona rolami, za którymi tęsknią wszystkie aktorki. Po studiach w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej u Aleksandra Zelwerowicza, studiach rozpoczętych nie bez oporów rodziny, pamiętna rola Solange na scenie Teatru Polskiego. Oczywiście w Iwazkiewicza *Lecie w Nohant*. Potem ze znaczniejszych kreacji tuż przed wojną renesansowa Lukrecja Borgia obok Junoszy Stępowskiego. A po wojnie wspomnijmy tylko o lady Milford w *Intrydze i miłości*, pamiętnej Marii Stuart, o Shawowskiej *Świętej Joannie*, wymieniaj już tu Elżbiecie Valois; przypomnijmy dalej rolę rubasznej Abbie (*Pożądanie w cieniu więzów*) i wreszcie Kleopatę w sztuce L. H. Morstina. Wielkie i różne kreacje, wymagające oprócz talentu, kultury i inteligencji własnego widzenia świata. Wszystko zaś w towarzystwie najwybitniejszych aktorów i pod ręką takichż reżyserów.

Kiedy rozmawiamy z artystką, Nina Andrycz jest przed próbą w telewizji. Wieczorem zaś o zwykłej porze gra jeszcze *Kleopatę*. W tej gorączce, widać, czuje się dobrze, jak wszyscy ludzie, którzy nie znoszą bierności. Mówi szybko, ale każ-

O takich artystkach Boy pisał, że godne są tego, by Polskie Koleje Państwowe organizowały specjalne pociągi na ich spektakle. Zaiste, jest na polskiej scenie gwiazd kilka, które świecą blaskiem ostrym i magnetyzującym publiczność. Siła ich osobowości artystycznej sprawia, że widz ciągnie do teatru nie na przedstawienie, lecz na „swego“ aktora, na „swoją“ aktorkę. Ta miara jest chyba najzaszczytniejsza dla artysty, ale i rzadko, niezwykle rzadko osiągnana. Tym światłem uznania i dobrych uczuć ogarnięta jest niewielka grupa sławnych i najlepszych.

Ma w niej swoje miejsce i Nina

Ma w niej swój młodszy i Nina Andrycz. Aktorka, na której przedstawienia — tak, jak chciał Boy — bieżą wycieczki, kobiety spragnione głębokich przeżyć, anonimowi poeci szukający miłości, sensacji i ludzie łagodnego serca, wojskowi i młodzież licealna, demokraci i monarchiści. Tak, ci ostatni także, bo, pani Andrycz jest, można powiedzieć, etatową władczynią sceny polskiej. Spójrzcie tylko na jej ostatnie role! Maria Stuart — królowa Szkotów, Elżbieta Valois — królowa Hiszpanów, Kleopatra — Egiptu, Maryna Mniszek, in spe caryca rosyjska... Wystarczy. Można by długo świecić tymi rolami, z których każda jest doprawdy królewska.

Nie o te trony papierowe jednak chodzi i nie o teatralne korony. Prawie bowiem każdy wybitny człowiek teatru ma ową iskrę tajemną i tę świadomą z drugiej strony siłę swego aktorstwa, co wyróżnia go od przeciętności i rzemieślników. Siłą aktorstwa Andrycz nie jest statyczna królewskość jej ról, ale siła charakteru ożywiająca te królewskie czy nie królewskie role. To się rozumie lepiej, gdy słyszy się słowa artystki, gdy opowiada o interpretacji roli Elżbiety Valois w Schillerowskim *Don Carlosie*, postaci nieco jęklivej, według autora, i płaceliwej. Kogo dziś wzruszy popłakiwanie dobrze sytuowanej kobiety — powiada Nina Andrycz. Trzeba było jej postaci nadać nowych błysków, innych znaczeń, niż podsuwało tradycyjne odczytanie tekstu. Powstała więc w interpretacji Andrycz bohaterka z ognia i prochu.

I tutaj chyba dotknęliśmy istoty jej aktorstwa i w ogóle aktorstwa szlachetnego, owej siły osobowości artystycznej sprawiającej, że nawet w zwietrzalnych tekstach gra aktorska odkrywa nieoczekiwane pokłady złota; więcej — gdy kreacja sceniczna zaczyna żyć własnym życiem i tworzy autonomiczną wartość artystyczną. Te właśnie sytuacje dają wielką satysfakcję wykonawcy, publiczności, a być może nawet i autorowi. Aby jednak je stworzyć, trzeba artystów wysokiego lotu, takich właśnie jak Nina Andrycz.

Bo nie było w teatrze wypadku, żeby sala najbardziej zmęczona, najmocniej sceptyczna, w najbardziej dżdżysty wieczór listopadowy nie była braw autorowi na przykład za słowa: „Daj nam wolność myślenia“. Ano właśnie. Ten tekst uniesie, pewien powodzenia, i pierwszy lepszy lektor. Dla myślącego aktora każda rola dramatyczna jest okazją, pretekstem do wypowiedzania siebie, autor bowiem stwarza abstrakcyjne postaci, żywy człowiek powstaje dopiero na spektaklach. Czasem właśnie, jak się powiedziało, pisarz da małe jezioro, a aktor odnajdzie w nim nieprzeczuwalne głębie, tak — jak zdaniem Niny Andrycz — stało się w przypadku świetnej kreacji Holoubka, w mier-

szą biernością. Mówi szybko, ale każde zdanie ma tu swoją, powiedzianą, dramatyczną nośność, każdy skrót myślowy — wyraźną plastykę. Jej wywód jasny i klarowny bez zwykłych u artystów wszystkich profesji zakoli, bez dygresji odwracających uwagę od głównego tematu, pokretnych parabol i nadużywanych kalamburów. To jest, chciałoby się powiedzieć, szkoła klasycznych rygorów sztuki antycznej.

Wieczorem zaś tego dnia, którego prowadzimy rozmowę, oglądamy aktorkę we wspomnianej już *Kleopatrze*. W trzecim akcie, u mety, gdy jakże często aktorzy grają już resztką sił, co sprawia, że widz rozgląda się za szklanką pomocnego mleka, Nina Andrycz ma taki zapas energii, jakby dopiero wchodziła na scenę po pierwszym dzwonku. To się nazywa strategia, doświadczenie aktorskie i godna zażdrości witalność.

RYSZARD KOSIŃSKI



Formallizm